

Bajki Wielkiego Anestezjologa

Pidżamowcy, reż. Marcin Liber, Wrocławski Teatr Współczesny

**HENRYK MAZURKIEWICZ**

Doktor nauk humanistycznych, krytyk teatralny, członek redakcji portalu „Teatralny.pl”. Piszę dla

A A A



fol. Natalia Kabanow

Jeżeli ktokolwiek miał wątpliwości względem konkursu dramaturgicznego Strefy Kontaktu, napisani przez Mariusza Sieniewicza i wyreżyserowani przez Marcina Libera *Pidżamowcy* mają wszelkie szanse ostatecznie je rozwiązać. To pyszny tekst. Współczesny, aktualny, a jednocześnie na swój sposób bardzo poetycki. Pierwszy raz poczułem się zaproszony na teatralną ucztę szpitalną, gdzie głównym daniem jest ból obficie przyprawiony pigułkami, ampułkami i zastrzykami o nazwach niekiedy tak dziwacznych, że przywodzą na myśl filologiczne fantazje Tolkiena.

Powracając do wątpliwości i zastrzeżeń, nie miałem ich za wiele już po premierze *Garnituru prezydenta* Cezarego Ibero. Pisałem o tym wtedy i z jeszcze większym przekonaniem mogę to powtórzyć teraz, Wrocławski Teatr Współczesny potrzebował takiego konkursu i bardzo dobrze, że go sobie wymyślił. Realizację tekstu Maliny Przeługi, która podzieliła nagrodę główną pierwszej edycji z Bogusławem Kiercem, odebrałem jako otwarcie nowego rozdziału w dziejach sceny na Rzeźniczej. Wciąż jeszcze nawiązującego do głównych patronów Strefy Kontakt, jednak zdecydowanie przełamującego zbliżający się impas, do którego doprowadziłoby ograniczenie się do dzieł wielkiej trójki: Tadeusza Różewicza, Helmuta Kajzara i Tymoteusza Karpowicza.

Narracyjnym jądrem *Pidżamowców* są intymne zwierzenia czwórki beznadziejnie chorych pacjentów. Leżą oni na szpitalnych łóżkach niczym żywe, a raczej półżywe rzeźby w jakiejś ultranowoczesnej galerii sztuki. Wystawieni na pokaz, a tym samym obezwładnieni i uprzedmiotowieni. Bezbronni nie tylko wobec nekających ich schorzeń, ale też spojrzeń personelu, naszych spojrzeń. „Choroby mają do mnie nieograniczony dostęp” – wyznaje jeden z nich, a drugi dodaje: „Niejeden doktor zrobił na mnie doktorat”. Ich *cogito*, to cierpienie – cierpię, więc jestem. Póki co. Cierpienie to, jak sami przyznają, ociera się o autoerotyzm. Dlatego jedynym pragnieniem i marzeniem nieszczęśników jest kolejna, niezbędna w przetrwaniu dawka magicznych tabletek. Tylko jak ją zdobyć? Tego, co niczym karmę dla kur rozrzucają po podłodze siostry-pielegniarki, jest zdecydowanie za mało. Ale na (nie)szczęście szpitalną rzeczywistością rządzą surowe prawa rynkowe. Placisz – dostajesz chwilowe „bólów odpuszczenie”. Nie placisz – pozostajesz sam na sam z demonami klucia, pieczenia, ucisku, palenia i gniecienia. Walcząc z nimi, będziesz miał czas, żeby się zastanowić, jak wytłumaczyć krewnym, po co ci kolejne kilka stów i kim jest Ampuła, któremu wisisz już kilka tysięcy. Na szczęście Bronisław Pieniążek, „klient” ze stażem niczym apostoł nowej religii przynosi naszemu towarzystwu „dobrą nowinę”. Otóż istnieje „szafka magiczna, sekretna szafka”. Wystarczy trochę wiary i odwagi, a wejście do tej wymarzonej farmakologicznej Narnii zostanie odnalezione.

Pidżamowcy to *Lot nad kukułczym gniazdem* zasiedlony bohaterami z *Las Vegas Parano*. Rollercoaster bólu i ekstazy. Jazda bez trzymanki, z którą zespół Współczesnego znakomicie sobie poradził aktorsko. Przede wszystkim dzięki niedającym się podrobić, autentycznemu zaangażowaniu i doprawdy zaraźliwej frajdzie, z którą oprowadzają nas po wymagowanym przez Sieniewicza i Libera świecie Wielkiego Anestezjologa. Szczególnie zauroczył mnie wracający po latach na deski tej sceny Wiesław Cichy. Pod tym względem *Pidżamowców* da się nawet czytać jako wariacką kontynuację nie mniej wariackiego *Stand up Witkacy* w brawurowym wykonaniu aktora. Tu pod koniec wszystko równie „pięknie wyszło spod kontroli”. Przechabawni byli Krzysztof Boczkowski w roli Amputyka i Tomasz Orpiński jako Dializus. Świętą była Ewelina Paszke-Lowitzsch w roli siostry Goneryli. Szczególnie kiedy metodycznie pochłaniając zawartość bombonierki, komentowała upokarzający dla „modeli” pokaz szpitalnej mody. Bo przecież „chorować, cierpieć i umierać trzeba zawsze z klasą”! Do tego doszły liczne, powracające niczym refren, grupowe zombie-choreografie z czternastoma statystami.

Podejrzewam, że humor Sieniewicza niektórzy mogą uznać za sztubacki, a jego nieustanne zabawy leksykalne niekiedy za zbyt wulgarnie czy wręcz obciachowe. Odbierałem to wszystko jedynie jako metaforę, parabolę, przypowieść czy pretekst do poważnego pochylenia się nad czymś innym. Chociażby nad tym, że ustrój społeczno-polityczny nie będzie mieć większego znaczenia, jeżeli prawdziwego szczęścia, zaspokojenia i ukojenia będziemy szukać w wynalazkach biochemii. Dlatego antyutopii *Pidżamowców* znacznie bliżej nie do wizji orwellowskich, lecz do nie mniej groźnych niebezpieczeństw *Nowego, wspaniałego świata* Huxleya. Oto widmo krąży po Europie i wcale nie jest to widmo komunizmu, tylko *somy* – „idealnego narkotyku”. Świat zglobalizowany bez granic i bez bólu. Oczywiście, za odpowiednią opłatą, więc podzielony na dilerów i klientów. Podejrzewam, że niedługo trzeba będzie czekać na abonamenty, systemy zniżek i politykę lojalności. A rodzaj zażywanych leków już teraz stał się wyznacznikiem statusu społecznego. Dlatego postać Ampuły jest jak gdyby z góry wpisana w rodzący się system dystrybucji doustnego i dożylnego szczęścia. Ale ta mroczna pespektywa socjologiczna, swoją drogą, jest jedynie pochodną zaniku wizji metafizycznych. Jak bowiem uzasadnić istotność i sens cierpień w świecie „po Bogu”? Moim zdaniem się da, ale, jak podejrzewam, pod tym względem należą do mniejszości, której w nowej medicoutopii może grozić szybkie i zdecydowane zdelegalizowanie.

Mirek Kaczmarek stworzył dla *Pidżamowców* przestrzeń sterylną, umyślnie rażącą swą monotonią, bielą i niekończącym się wzorem szachownicy. Na dodatek Grupa Mixer ubrała niektórych z wykonawców w obcisłe, stapiające się z tłem kostiumy, które przywoływały na myśl zagadkowe postacie z *Panny Nikt*. Nie przepadam za tego rodzaju estetyką, lecz jest to kwestia wysoce subiektywna. Być może po prostu nie znoszę szpitali. Są jednak rozwiązania inscenizacyjno-kompozycyjne, co do których mam znacznie większe wątpliwości. Przede wszystkim wymienilibym „dopisane”, a właściwie to jakby „doklejone”, tworzące specyficzną ramę dla całego przedstawienia, wyraźnie publicystyczne prolog i epilog.

Lubię, znacznie upuszczając, zderzenie „prozy” z „poezją” i „doczesności” z „wiecznością”. Poza tym ze wszech miar podzielał ogólne zaniepokojenie spowodowane nie dramatyczną, tylko wręcz tragiczną sytuacją lekarzy-rezydentów. A jednak siedzących na krzesłach aktorów, którzy wprost relacjonują to wszystko, o czym czytaliśmy ostatnio w prasie, nie potrafię zaliczyć do fortunnych posunięć. Niektóre rzeczy muszą zostać powiedziane wprost. Pełna zgoda. Ale takie ocierające się o łopatologię „wprost” nie zawsze trafia wprost do serc i umysłów. Szczególnie że Sieniewicz wcale nie stronił od stawiania diagnoz i ogłaszania wysokości pensji pielęgniarek, więc nie potrzebował pod tym względem „przystawki” w postaci „reportażu” ze szpitalnej przychodni. Z drugiej strony, rozumiem obawę twórców o to, żeby wykreowany świat nie zamknął się szczelnie na samym sobie. Wydaje się, że byłaby na to szansa, gdyby ból nie był rzeczą tak powszechną i wszystkim tak dobrze znaną. Być może w świecie, w którym postać Wielkiego Anestezjologa jest postacią całkiem zmyśloną. W naszym, niestety, jest co najwyżej pół-fikcyjną. I tej połówki już w zupełności wystarczy.

12-01-2018

GALERIA ZDJĘĆ

PIDŻAMOWCY, REŻ. MARCIN LIBER, WROCŁAWSKI TEATR WSPÓŁCZESNY



ZOBACZ WIĘCEJ



Wrocławski Teatr Współczesny

Mariusz Sieniewicz

Pidżamowcy

reżyseria: Marcin Liber

scenografia, projekcje wideo, światło: Mirek Kaczmarek

kostiumy: grupa Mixer – Dorota Gaj-Woźniak, Robert Woźniak, Monika Ulańska

muzyka: Filip Kaniecki

ruch sceniczny: Maćko Prusak

obsada: Aleksandra Dytko, Maria Kania, Ewelina Paszke-Lowitzsch, Krzysztof Boczkowski, Wiesław Cichy, Przemysław Kozłowski, Zdzisław Kuźniar, Tomasz Orpiński, Tadeusz Ratuszniak, Krzysztof Zych, Mariusz Bąkowski

premiera: 3.12.2017

TAGI: Marcin Liber, Mariusz Sieniewicz, Wrocław, Wrocławski Teatr Współczesny im. Edmunda Wiercińskiego,

Udostępnij

SKOMENTUJ

Autor

lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

siedem minus cztery jako liczbę:



KOMENTARZE (1)

**Barb** | 2018-04-10 23:17:59 » Cytuj

Przyjechali do mnie Włosi. Ona Polka, on, rodowity Włoch. Ponieważ ciekawi byli jak wygląda polski teatr, wybraliśmy się na Pidżamowców. Włosi sztuką byli wręcz zachwyceni, w ogóle zdziwieni, że w teatrze były osoby w różnym wieku, u nich, jak twierdzili do teatru tylko starsze panie chodzą, że widownia wypełniona do niemal ostatniego miejsca, u nich jak widzowie wypełnią połowę sali, to jest sukces. Bardzo podobala im się sama sztuka, znajoma (Polka) stwierdziła, że akcja Pidżamowców toczy się niby w Polsce, ale gdyby sztukę wystawić we Włoszech, problem byłby dokładnie ten sam. Włoch natomiast z takim przekonaniem mówił, że się na sztuce nie nudził, że mu uwiertym. Mówił, że wprawdzie nie wiedział dokładnie o co chodzi (nie zna polskiego), ale była dobra muzyka, na scenie stale coś się działo, w każdym bądź razie czasu, jaki spędził w teatrze nie uważał za stracony.

POWIĄZANE TEATRY

 Wrocławski Teatr Współczesny im. Edmunda Wiercińskiego

 Łukasz Drewniak
K/109: Sprawy beznadziejne

 Henryk Mazurkiewicz
Ponoć

 Henryk Mazurkiewicz
Śledzik w śmietanie

 Mirosław Kocur
Duńczyk w Neapolu

 Tomasz Rodowicz
Dziesięć lat w sieci powizań. neTTheater – początki i prapoczątki

 Magda Piekarska
Isaura. Historia przemocy

BĄDZ NABIEZĄCO

